

II 538.030

Wiktorja Hessel-Zaleska

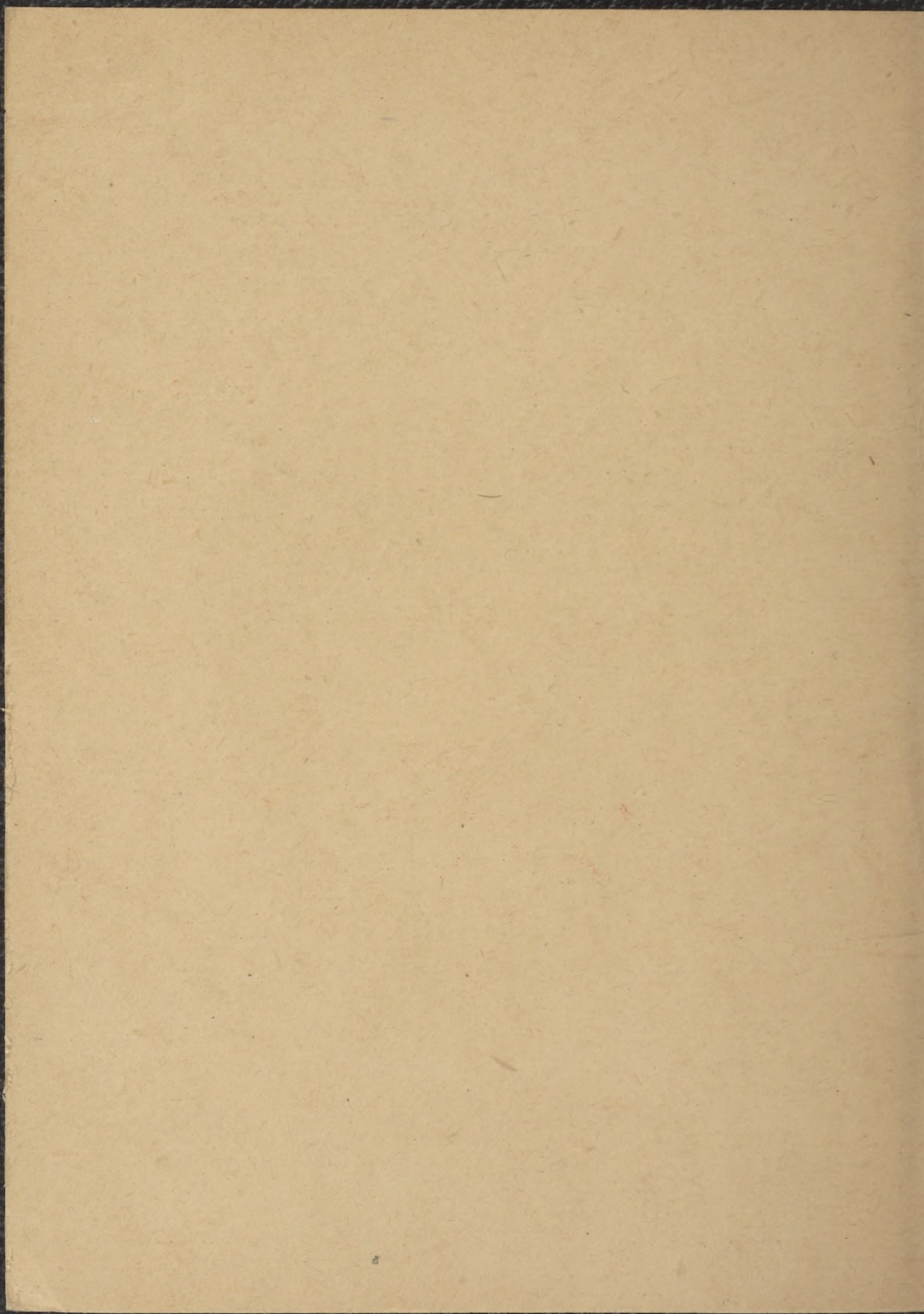


ĆZARY

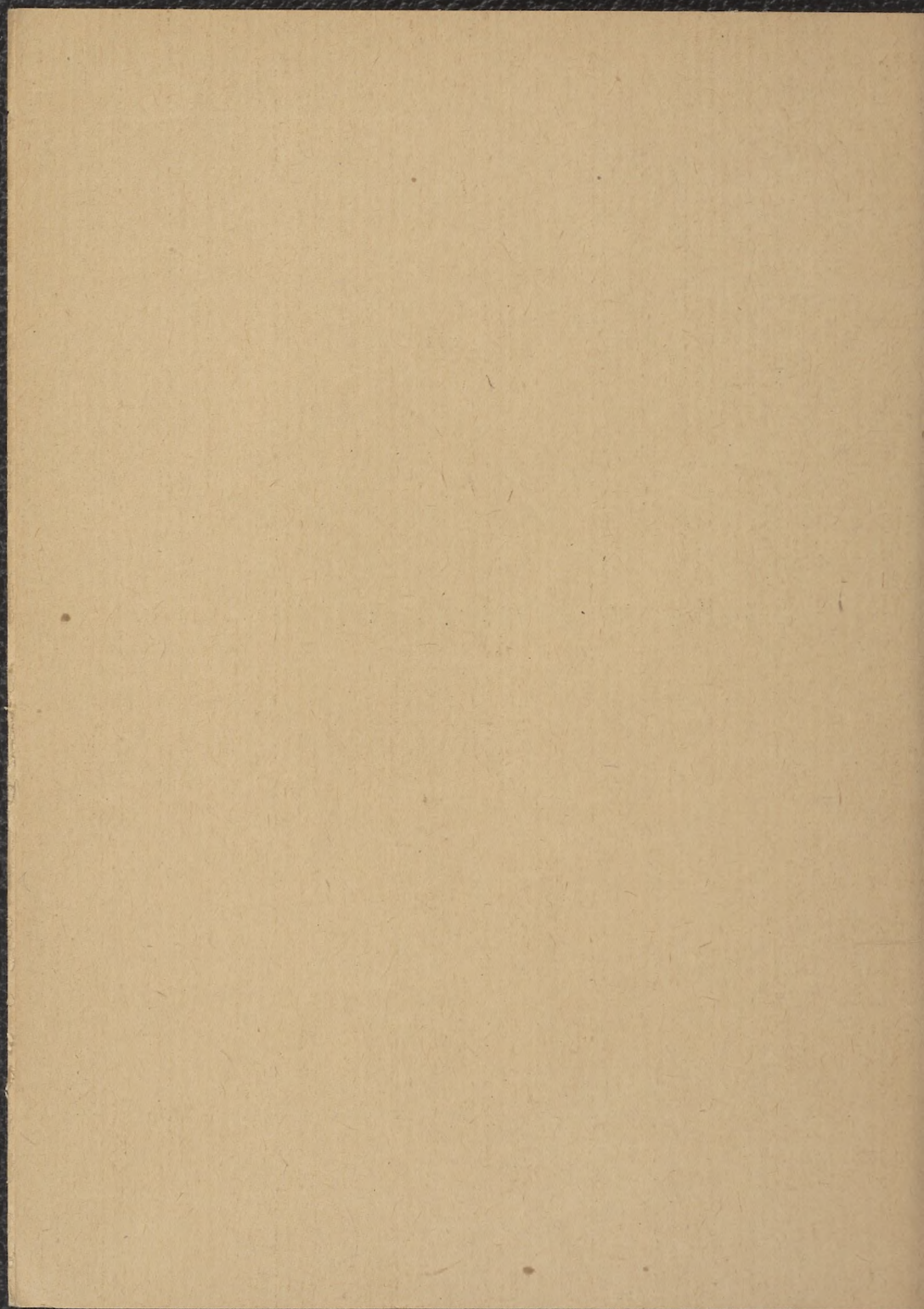
W POKOJU DZIECI

BAJECZKI

Wydawca :
"OGNISKO" Spółdzielnia Księgarska
Katowice 1946



CZARY W POKOJU DZIECI



WIKTORIA HESSEL - ZALESKA

CZARY
W POKOJU DZIECI

BAJECZKI



„OGNIŚKO” SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKA

KATOWICE

1 9 4 6



II. 538.030

DOŁ. ARCHIWALNY

Drukarnia Państwowa w Nowej Rudzie Nr 812

R. 14143.

1948 D 544

Przekora

Przekora siedziała na krzaku agrestu. Nadgryzała dojrzałe owoce i rzucała na ziemię.

— Kwaśny, miękki, twardy, niedojrzały, zielony, czerwony, kosmaty, przejrzały, zły! — mówiła.

Nudziło jej się. Taka już była, że to zawsze jej się nudziło! Czepiała się jak oset zwierząt i ludzi. Raz czepiała się na długo, a raz na krótko. Jak tam popadło!

To była mała i malusieńka, to znowu duża i nawet wielka. Jak jej się tam zechciało!

Od godziny już siedziała na krzaku i czekała nadgryzając owoce agrestu, na kogoś, kogo by się mogła czepić...

Aż tu kura z kurczątkami podeszła pod krzak.

— Pi! pi! pi! — piszczały kurczęta — pokaż nam mateńko ziarenka!

— Ko! ko! ko! — kwokała stara kura i zaczęła zbierać porzucone przez przekorę kulki

agrestu. Twardym dziobem je dziobała i wołała na kurczątką, żeby je jadły.

— Ko! ko! ko! Dobry agrest! Bardzo dobry! Spróbujcie!

I na pewno byłby agrest kurkom smakował, gdyby na tym krzaku nie siedziała przekora. Ta zrobiła się maleńka jak muszka i usiadła jednemu żółtemu kurczątku na głowie. To kurczątko zaraz stanęło, rozpostarło swoje skrzydełka i zapiszczało:

— My nie chcemy agrestu! Nie chcemy! Pi! pi! pi! Nie chcemy!

— Tak, nie chcemy agrestu! — za tym jednym zapiszczały inne kurczęta. Zgniewała się na te piski mamusia kura.

— Ko! ko! ko! nie, to nie! — zakwokała i położyła się na ziemi, a żeby spać. Oczka zamknęła, główkę schyliła i śpi.

— Pi! pi! pi! jesteście głodne! Pi! pi! pi! jesteście małe! Pi! pi! pi! jesteście śpiące! — piszczwały kurczęta chodząc koło mamusi.

Uniosła kura skrzydła do góry i kurczątką powłaziły pod nie przedziutko. Skuliły się, skurczyły się, przytuliły do mamusi i spały.



Ale to kurczątko, na którego główce siedziała przekora, nie schowało się pod skrzydła mamusi. Samiuteńkie chodziło obok krzaku agrestu. Chodziło, chociaż zimno mu było i spać mu się chciało ogromnie. Stara kura otworzyła oczko, spojrziała na przekorne kurczątko i zakwokała:

— Chodź pod moje skrzydełka, ko! ko! ko! schowaj się tam razem z innymi, bo zziębnieesz!

— Nie! nie pójdę! pi! pi! pi! Nie potrzebuję siedzieć przy mamie! — zapiszczało przekorne kurczątko.

— Ko! ko! ko! Nie chcę takiego niegrzecznego kurczątka! Nie dbam więcej o ciebie! — zgniewała się mama kura, znowu oczka zamknęła i spała.

A przekora, co siedziała na główce kurczątka, ze wszystkiego się śmiała. I z mamy kury i z dzieci kurczątek, nawet z tego kurczątka, na którego główce siedziała.

Taka już była, że ze wszystkiego się śmiała! Ale widzieć się nie dawała nikomu! Nie!

I przekorne kurczątko zablądziło w ogrodzie.

Szła tamtędy gospodyni Agnieszka i za rękę prowadziła synka Józusia. — Pi! pi! pi! — usłyszeli, jak coś w trawie piszczało — Pi! pi! pi! Jestem zgubione! Pi! pi! pi! Jestem samiutkie! Głodne i nieszczęśliwe! pi! pi! pi! Chcę do mamusi!

Schyliła się gospodyni Agnieszka i złapała przestraszone kurczątko. — Pi! pi! pi! Chcę do mamusi! Chcę do mamusi! — piszczało.

— Zaraz, zaraz — powiedziała gospodyni i zaniósła kurczątko do starej kury.

Przestraszone i już grzeczne kurczątko przytuliło się do kury i cichutko chwilę jeszcze piszczało, zanim usnęło.

— Józus! — woła synka gospodyni Agnieszka. — Chodźże chodź dziecinko, nalejemy kotowi mleka, bo pewnie głodny! Chodźże syneczku!

— Nie! Nie pójdę, bo nie chcę! — krzyknął Józus ze złością i tupnął nogą.

— Oj?! — zdziwiła się Agnieszka — A cóż jemu się stało?! A cóż go tak odmieniło?! Przecież zawsze był dobry i zawsze grzeczny!

Dziwiła się, bo nie wiedziała, że synkowi Józusiowi usiadła na nosku przekora.

Nikt jej nie widział... a była!

Z główki kurczątką przeskoczyła wprost na
nosek Józusia.

Zostanie tam może długo, a może krótko.
Ale pewnie, że nie na zawsze!

Lalka Małgosi

Jedna mama miała córkę Małgosię, a córeczka Małgosia miała laleczkę Zosię.

Jak Małgosia wieczorem szła spać, to laleczka Zosia też spała.

Bardzo była posłuszna ta Zosia. Powiedziała jej Małgosia: — Śpij teraz, Zosiu! — i położyła ją na łóżku, lub na laweczce, to laleczka Zosia już spała... Nawet oczka zamykała. Bo tak była zrobiona, że oczka zamykała, gdy spała.

A Małgosi trzeba było bajki opowiadać do snu, lub nawet piosenki śpiewać, żeby oczka jej się zamknęły i żeby spała.

Tak to, tak!... Mniej kłopotu miała Małgosia z laleczką Zosią niż mamusia z córką Małgosią.

Bo Małgosia płacze o byle co i gniewa się czasami nawet i obiadu jeść nie chce i ziemniaczki rozsypuje po całym stole i sukienki sobie wala, buty rozdziera... I czasami to nawet mamusi przeskadza w pracy.

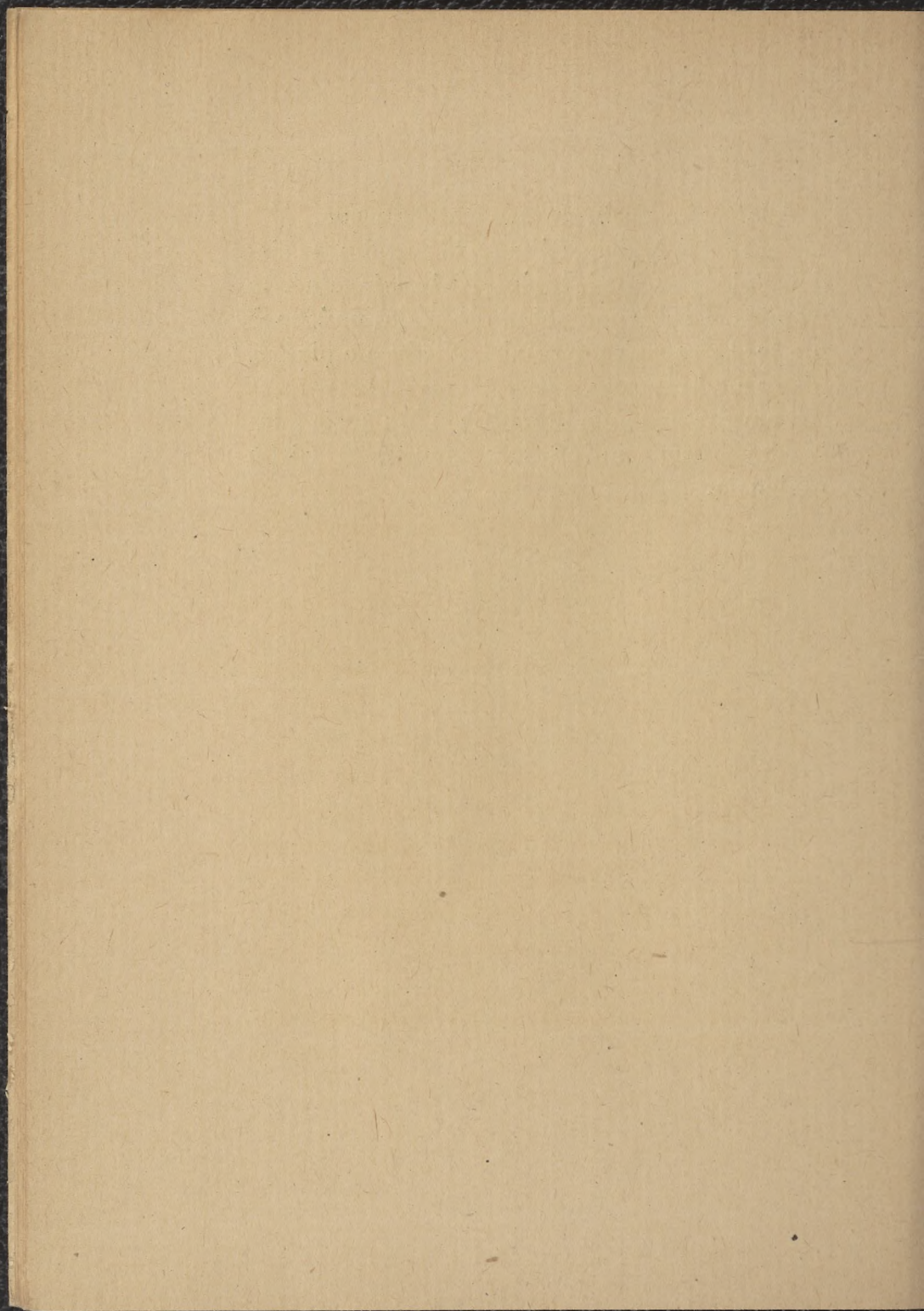


A laleczka Zosia zawsze jest grzeczna.

Posadzi ją Małgosieńka na krzeselku, to siedzi. Położy ją spać, to śpi. Każe jej wstać, to wstaje... I sukienek sobie nie wala, pończoch nie targa, rączek nie brudzi. Nigdy nie płacze, nigdy nie krzyczy...

I naprawdę mniej kłopotu ma Małgosia z laleczką Zosią aniżeli jej mamusia z córką Małgosią.





Czary... czary w pokoju dzieci

Trzeba bardzo uważać w nocy, gdy księżyc świeci. Okna wtedy trzeba zamykać i firanki zasuwąć w pokoju dzieci.

Oj trzeba!

Bo po promykach księżyc czary wchodzą przez okno... A potem jest zamieszanie i kłopot.

Tak się stało w tym pokoju, w którym spali Małgosia i Jaś.

Czary weszły do ich pokoju i zostały tam przez cały dzień.

Dziwny to był dzień, bardzo dziwny!

Potem w nocy czary uciekły przez mysią dziurkę. Bo chociaż nie było widać żadnej mysiej dziurki w całym pokoju, to jednak musiała tam być, bo któredyby myszka wchodziła? prawda? A tam była myszka napewno. Jaś ją raz widział i co noc szeleściła papierami pod stołem.

Myszka była zawsze, a czary były przez jeden dzień.

Dziwny dzień!

Najpierw z rana Małgosia była grzeczna, a laleczka Zosia nie... Nie chciała wstać rano z łóżeczka, nie chciała się ubierać i myć. Nie chciała jeść śniadania. Nie i nie!



— Zosiu! — mówi do niej Małgosia — bądź grzeczna, słuchaj mamusi, bo ci dam klapsa.

A ta lalka zaczęła płakać i krzyczeć, i złościć się i nawet rozlała kawusię na stół.

— Co tu robić? — myśli sobie Małgosia — muszę chyba swoją mamę poprosić, ażeby mi pomogła uspokoić tę Zosię.

Ale mama szyła nowe ubranko dla Jasia i nie chciała zajmować się niegrzeczną Zosią.

— Moja córeczko! — powiedziała do swej Małgosi — radź sobie sama ze swoją laleczką, bo ja nie mam czasu nią się zajmować. Jeszcze pokój nie posprzątany i muszę szyć ubranko dla Jasia.

— Ja ci pomogę — rzekł Jaś.

Ale już nie trzeba było żadnej pomocy, bo laleczka nagle i niespodziewanie stała się grzezną i zaczęła się bawić i śmiać.

A to wszystko przez te czary, co w nocy weszły do pokoju dziecinnego przez okno.

Teraz Zosia chciała śniadanko jeść i pajacem Maciusiem chciała się bawić. Poszła zatem Małgosieńka do kuchni prosić Kasię o bułeczkę z masłem dla Zosi i o jabłuszko.

— Przecież lalki nic nie jedzą — rzekła jej Kasia — bo to nie ludzie!

— Ale moja Zosia, to je! — powiedziała Małgosia i zabrała bułeczkę i czerwone jabłko dla Zosi.

I laleczka naprawdę je dzisiaj zjadła, chociaż zwykle musiała jej Małgosieńka pomagać.

A jak zjadła śniadanie, zaczęła się zaraz bawić z pajacykiem Maciusiem. Bawili się zapałkami z pudełka i okruszynkami z bułeczki.

Z zapałeczek zrobili staw, z okruszynek zaś rybki. Różne rybki.

Większe, zaczęły się zaraz ruszać i pluskać w stawie, a i małeńkie też.

Potem większe rybki zobaczyły mniejsze rybki i zaczęły je łowić i jeść.

I wreszcie je pozjadały zupełnie.

Wtedy to Jaś rzekł do Małgosi:



— Nie można kłaść do jednego stawu małych rybek ze szczupakami, bo szczupaki je zjedzą.

Tak to jest, ale o tym nie wiedziała laleczka Zosia ani pajacyk Maciuś, którzy zrobili staw z zapalek, a rybki z okruszynek bułeczki.

Jak już duże rybki pozjadały mniejsze rybki, to zgniewał się na nie pajacyk Maciuś i rozrzucił zapaleczki po stole i zniszczył staw. Wtedy laleczka Zosia uderzyła pajacyka Maciusia i zaczął się prawdziwy gwałt. Pajacyk darł się i krzyczał, głową ruszał, rękami machał, a nogami chciał kopnąć laleczkę Zosię.

Co te czary narobiły w pokoju dzieci! Jeszcze nigdy dotąd w domu nie było takiego kłopotu ze zabawkami!

Stary Miś zaczął tańczyć niedźwiedzi taniec, a czerwony drewniany góral zaczął tańczyć taniec góralski.

To zaś dlatego żeby uspokoić pajacyka Maciusia i lalkę Zosię, bo doprawdy wszystkich głowa mogła rozboleć od tego krzyku.

Wziął się Miś pod boki i obrócił się powolutku w prawo i w lewo, i w przód, i w tył. Ukłonił się poważnie głową przed Małgosią i Jasiem. Chciał im pokazać, że to dla nich



tańczy niedźwiedzi taniec. Dla nich tańczy, żeby nie mieli kłopotu ze zabawkami.

A czerwony góral siekiereczkę podniósł nad głową i tupnął nogą.

Potem prędziuteńko, drobniuteńko zaczął tańczyć koło niedźwiedzia...

Przytupywał, pogwizdywał, siekierką machał. Przyklękał i nogi naprzód wyrzucał, jakby przez góry skakał.

Wtedy pajac się uspokoił i zaczął na cymbałkach grać, a laleczka zaczęła góralskie piosenki śpiewać.

— Skąd ta Zosia zna góralskie piosenki? — dziwiły się dzieci Małgosia i Jaś:

Nie wiedziały, że góralskie piosenki wraz z czarami chodzą po świecie.

Dużo jeszcze nie wiedzieli i nie widzieli, bo byli mali.

Dlatego się na drugi dzień bardzo dziwili, że góral i Miś nie chcieli tańczyć, a pajacyk nie chciał na cymbałkach grać. Że laleczka Zosia była grzeczna, ale nie umiała już śpiewać.

Bo przez mysią dziurkę uciekły czary z pokoju dzieci...

1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

Przyjaciel wiatr

Żartobliwy to był wiaterek. Figle tylko i psoty były mu w głowie. Wszyscy w domu lubili go i rozpieszczali. I ojciec Wiatr Halny i matka Zawierucha świata za nim nie widzieli.

Wszyscy go kochali w wiatrów rodzinie, a nawet ludzie lubili go także, bo żartobliwy był, ale nie zły.

Idzie mały gruby Jaś przez wieś. Idzie poważnie, jak przystało, gdy się ma na głowie nowy, duży, słomkowy kapelusz, który mama tacie kupiła na jarmarku, a Jaś go sobie zabrał na pole.

Tata wprawdzie o tym zabraniu kapelusza nic nie wie, boby się może gniewał o to na Jasia, ale Jaś tylko chwileczkę pochodzi w nim po wsi, żeby go inne dzieci widziały.

Kroczy Jaś dumny jak sam indor i patrzy srogo przed siebie, a kapelusz sterczy mu na głowie niczym korona.

O! Czarna Zośka już go widziała i aż palec do ust włożyła z wielkiego zdziwienia.

— Jej! Jaki to Jaś ma piękny kapelusz!

— Ho! ho! Jasiu, a któż ci dał ten tatu-
siów kapelusz? — zawołała chrzestna matka,
która stała przy furtce ogródka.



— Któż ci go dał? Pewnie nie mama, bośmy go dopiero dzisiaj rano na jarmarku dla twojego tatusia kupiły.

— A może go sam wzięłeś, bez pozwolenia? No przyznaj się Jasiulek!

— Sam go wzięłem, bez pozwolenia — przyznał się chrzestnej matce Jaś.

— A odnieśże go chłopcze prędko do domu, bo ci jeszcze do błota wpadnie i dopiero będzie bieda! Mama cię zbije, oj zbije!

— Nie zbije, bo do błota mi nie wpadnie — odpowiedział Jaś i szedł dalej w kapeluszu tatusiowym przez wieś.

Pogoda była piękna, ani jednej chmurki na niebie, ale ziemia na drodze była jeszcze mokra od deszczu. Padały deszcze i padały przez długie dni, aż się wreszcie dopiero dzisiaj wy pogodziło.

Cicho było we wsi, bo ludzie wyszli do pola i dzieci też. Dlatego to nie wiele kto widział Jasia w kapeluszu słomkowym.

Widziała go tylko Zośka, chrzestna matka i... jeszcze ktoś.

Ten ktoś, to był figlarz wiaterek, który stał ukryty za płotem chrzestnej matki ogródka.

I ten figlarz wiaterek postanowił spłatać Jasiowi figła.

Najpierw cicho, leciuteńko pogłaskał go i dmuchnął mu łagodnie w niebieskie oczy.

Zmrużyły się od wiatru Jasiowe oczy, ale chłopczyk szedł wciąż dalej przez wieś.

A wtem nagle, niespodzianie porwał mu wiatr nowy, tatusiów kapelusz z głowy. Podniósł go w górę i rzucił na ziemię, na wilgotną po deszczu drogę. Na szczęście, miejsce, na którym wiatr go położył, trochę już podeschło na słońcu.

Przestraszony Jaś biegł za kapeluszem, żeby go podnieść, ale figlarz wiaterek porwał mu go tuż spod rąk i fruwał nim w powietrzu jak liściem.

— Kapelusz! kapelusz! — zapłakał Jaś, który się bał, że wiatr rzuci kapelusz do kałuży, albo na mokrą ziemię.

Obie ręce Jaś podniósł w górę, żeby złapać latający nad nim kapelusz.

A kapelusz wciąż latał, wysoko w górze i uciekał przed ścigającym go chłopcem.

— Co to będzie! — myślał Jaś — gdy kapelusz wpadnie do błota, którego tu pełno

dokoła? Powala się nowy taty kapelusz i będzie zmartwienie w domu. A mnie mama zbije, oj zbije!

Tak myślał Jaś i biegł za kapeluszem, wołając z płaczem:

— Kapelusz! Oj! Kapelusz!

Teraz wiatr wymyślił sobie nową zabawę. Tulał kapeluszem po drodze niby drewnianym kółkiem. Zatrzymywał go chwilę przed Jasiem, a potem znów toczył go dalej.

Jaś się już zmęczył tym gonieniem. Stał na drodze i głośno płakał.

Wtedy żal się zrobiło wiatrkowi chłopca. Zaczął dmuchać na kapelusz z przeciwnej strony, tak, że ten potoczył się Jasiulkowi prosto pod nogi. Ucieszony chłopczyk podniósł go z ziemi.

— Nawet się nie powalał — powiedział głośno, a wiatr na to zagwizdał mu koło uszu, tak jakby mówił:

— Nie powalał się, bo uważałem na niego, żeby nie wpadł do błota!

— Dobry wiatr! — znowu powiedział Jaś, bo uważał na tatusiów kapelusz!

Wiatr zaś pewnie ucieszył się z takiej pochwały, bo łagodnie musnął chłopca po

głowie i rozrzucił mu leciutko włoski nad czołem. Musnął go też po buzi, zupełnie tak, jakby go głaskał.

— Dobry, kochany wiatr — powtórzył Jaś i włożył tatusiów kapelusz na głowę. Już był pewny, że wiatr mu go teraz nie zerwie.

No i nie zerwał mu go wiaterek z głowy, bo polubił chłopca za to, że zamiast się gniewać na niego, nazwał go dobrym, no i kochanym.

I Jaś z kapeluszem wrócił do domu...

Chrzestna matka, która z dala widziała, jak kapelusz fruwał w powietrzu i toczył się po drodze, dziwiła się, że jest cały i czysty i że mu się nic nie stało po tej przygodzie.

— Ma chłopak szczęście, że kapelusz się nie powalał, bo matka by go na pewno zbiła. Ma szczęście, bo ja go do chrztu trzymałam. — Tak myślała sobie ta chrzestna matka.

Jaś, gdy wrócił do domu, to tatusiów kapelusz położył na stół. Postanowił go już nigdy bez pozwolenia nie brać na pole.

Bo jakby przyleciał zły wiatr, toby mu zerwał kapelusz z głowy i rzucił prosto do błota.

Dobrze, że napotkał dobry wiatr, co się nie często zdarza...

O blasze z pieca

— Jak będę duży — powiedział Jaś — wezmę sobie blachę z pieca, auto z niej zrobię i daleko na nim pojedę.

— A mnie weźmiesz ze sobą? — pyta się go babunia.

Janek kiwa główką, że tak, weźmie babcię ze sobą na to auto, z blachy z pieca zrobione.

A jakież to będzie prześliczne auto z tej blachy! Całe będzie polakierowane na biało i Jaś szofer także będzie biało ubrany.

Tak sobie przyjemnie myślał Jaś o aucie, że nie spostrzegł odrazu, że babulka z kuchni wyszła i został sam.

Sam, nie sam... W kuchni była szafka z garnuszkami na półce, które wyglądały tak jak zęby w ustach człowieka. Tak jakby się szafka śmiała do Jasia tymi zębami białych garnuszków.

A piec coś mówił.. Nie, to nie piec mówił, tylko blacha żelazna, czyli płyta na nim le-

ząca. Czy to blacha coś mówi? Czy to woda kapie z pokrywy na garnku z ziemniakami i syczy na blasze?

— Ssssy sssyt! sssyt! Jasiu! pssyt Jasiu!

Podszedł tedy Janek bliżej pieca i słucha, słucha, co też blacha mówi do niego i na co go woła do siebie.

— Pssyt Jasiu! pssyt Jasiu! — kapią krople wody z garnka na blachę.

— Weź mnie, weź! zaraz, teraz! ssy sssyt sssyt — zaraz, teraz, ze mnie auto sobie zrób, zanim dorośniesz! Ssy — pssyt Jasiu! Zaraz, teraz, zanim dorośniesz!

I zaczęła blacha uskarżać się i lamentować, że nikt na nią nic nie zważa, nikt o nią nie dba. Że Jagusia siostra Jasia, mleka nawet nie pilnuje jak się gotuje, tylko całe mleko kipi na blachę. A woda z pokrywy na garnku to ciągle kapie i kapie...

— Pssyt — ssyt Jasiu! ssyt — pssyt! zaraz teraz ze mnie auto zrób, zanim dorośniesz!

— Dobrze! — powiedział Jaś na to całe mówienie i zabrał się zaraz do pracy.



Wyjął młotek z szuflady, no i obcęgi, a także gwoździe.

Jeden gwoździ, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem gwoździ wyjął Janek z szuflady.

— Osiem gwoździ to wystarczy — pomyślał Jaś, ale jeszcze czegoś szukał po kuchni. Szukał w szafce z garnuszkami i w paczuszce pod oknem i we wszystkich kątach w kuchni czegoś szukał.

Gwoździe były, obcęgi były i młotek był, ale białej farby do pomalowania auta nigdzie nie było!

Szukał jej Jaś wszędzie i szukał, ale na próżno!

— Zabieraj się Jasiu do pracy! syczała blacha. — Zabieraj! ssyt! pssyt ssyt.

— Bo babunia zaraz wróci do kuchni. Ziemniaczki już w garnku ugotowane.

— A jak babcia przyjdzie do kuchni, nie pozwoli zabrać blachy z pieca na auto! Tylko każe ci iść spać Jasienku! Pssyt! ssyt! pssyt! ssyt! Jasienku...

— Biała farba, biała farba do pomalowania

auta być musi! — rzekł na to Jaś i wciąż jej szukał i szukał.

Wreszcie babcia oczywiście przyszła do kuchni i kazała Jasiulkowi iść spać.

Obcegi mu zabrała, gwoździe i młotek i schowała do szuflady, chociaż Jaś narzekał i płakał, że już, już miał zrobić śliczne auto z blachy z pieca, tylko białej farby nigdzie nie było...

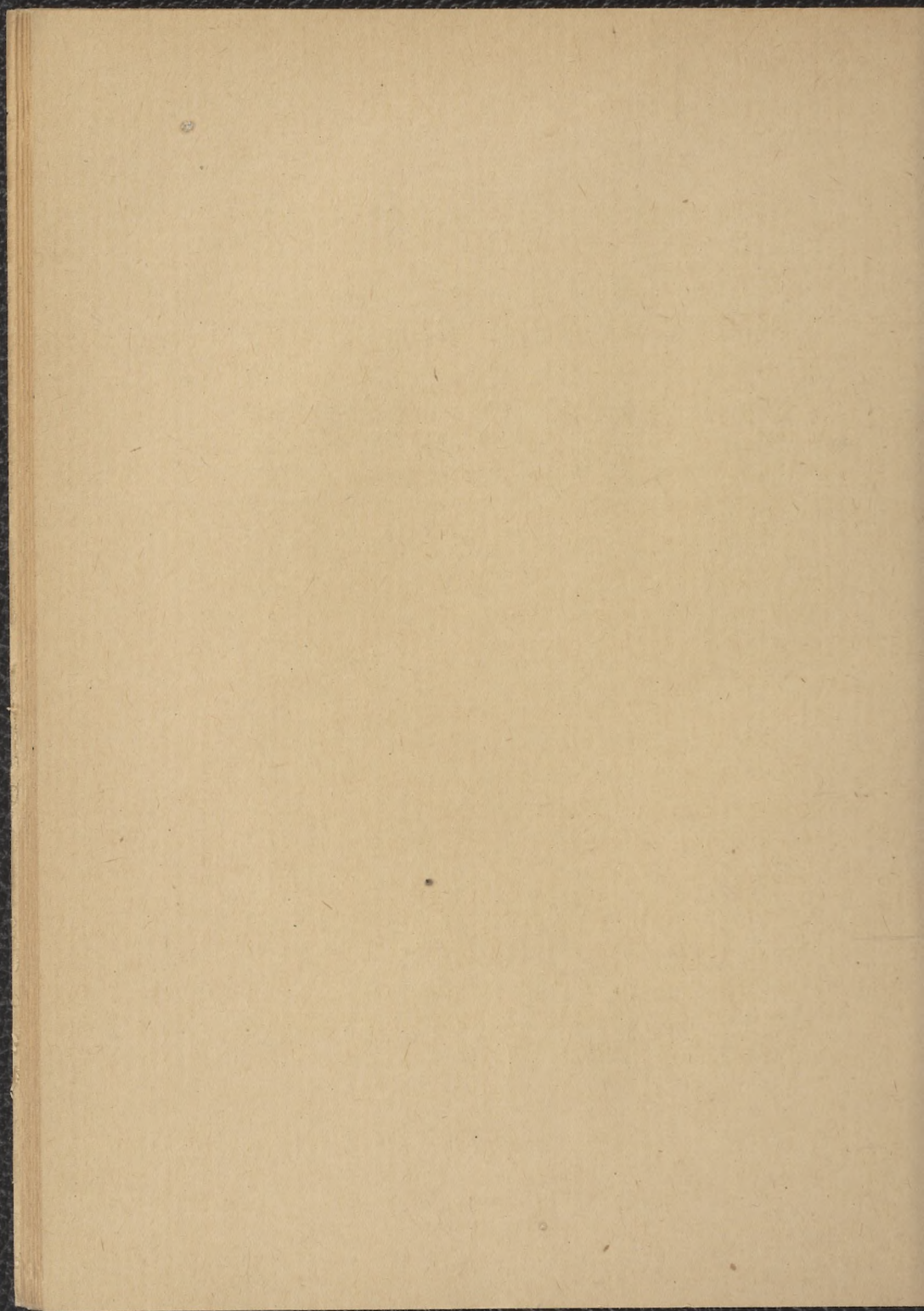
— Powiem tatulkowi Jasieńku, to ci kupi śliczne auto i do domu przyniesie — obiecała mu babcia.

Obiecywała i obiecywała, aż Jaś uwierzył. A jak uwierzył, to spać poszedł.

I naprawdę kupił tatuś śliczne auto drewniane i przyniósł je synekowi Jasiulkowi do domu. A to auto było całe białe pomalowane. Tak!

Jaś się bardzo autem cieszył i tatusiowi za nie dziękował, ale potem znowu mówił do babci:

— A jak będę duży, to napewno wezmę sobie blachę z pieca, zrobię z niej prawdziwe auto.... A nie drewniane!



Złota plamka

Pewien mały promyczek słońca nigdy jeszcze nie był na ziemi. Z góry tylko na nią spoglądał. Bardzo mu się podobała ziemia z wysoka. Podobały mu się lasy, rzeki, góry, kwiaty i ludzie. Ludzie mu się bardzo podobali i koniecznie z bliska chciał ich zobaczyć i poznać. A najwięcej chciał poznać dzieci...

Więc pewnego razu włożył złotą czapkę na głowę i po tęczy zjechał na ziemię. Zeskoczył na łąkę, pobawił się trochę z motylkami i powiedział im, że jest pierwszy raz na ziemi i że koniecznie chce poznać dzieci.

Motylki trzepotały skrzydełkami, trzepotały i mówiły, że i one nie znają ani ludzi dorosłych, ani ich dzieci, że może wiatr, może wiatr powie promyczkowi, gdzie ich szukać należy.

— O widzisz, tam za lasem bawi się suchymi liśćmi jeden wiatr. Może on ci poradzi, gdzie szukać dzieci...

— Dobrze, dobrze! — rzekł promyczek i pomknął do wiatru.

Wiatr był w dobrym humorze, zganiał suche, żółte liście w wysoką kupę, którą potem rozdmuchiwał na wszystkie strony świata. Śmiał się z tego leciuteńko. — Hi! hi! hi!

Promyk słońca skoczył na wysoką kupę żółtych liści i przywitał się z wiatrem jak należało.

Zaprzestał wiatr swojej zabawy i słuchał uważnie co promyczek mówił do niego.

— Jestem pierwszy raz na ziemi — mówił promyczek — i koniecznie pragnę z bliska zobaczyć ludzi i poznać dzieci. Bo je tylko dotąd widziałem z góry, ze słońca.

Wiatr zaczął się znowu śmiać i znowu dmuchać. (Inaczej wiatr mówić nie umie, to trudna rada!).

— Hi! hi! hi! — śmiał się wiatr. — Ja znam dobrze, doskonale, wyśmienicie ludzi i dzieci. Hi! hi! hi! Hi! hi! hi!

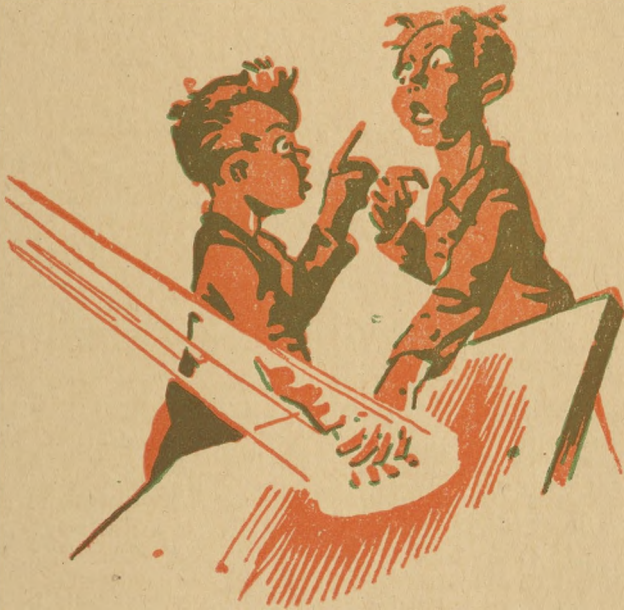
Promyczkowi trochę przykro się zrobiło, gdy wiatr się za długo śmiał.

Jak wiatr spostrzegł, że promyczek coś blednie i że złotą czapkę z głowy zdejmuje, przestał się śmiać.

— Ano, gdy koniecznie chcesz poznać

dzieci, to tu blisko jest szkoła, zagłównij do niej, tam znajdziesz dzieci.

Podziękował promyczek wiatrowi za radę, czapkę złotą nałożył i poleciał do szkoły.



Było to już południe i prawie wszystkie dzieci wyszły ze szkoły. Został tylko Leszek i Cześ.

Zajrzał promyczek przez okno i zobaczył w klasie tylko dwóch chłopców. Wpadł więc

między nimi na stół. Cześ zobaczył migotliwą złotą plamkę na stole.

— Moja, moja, moja — mówił szeptem i zasłaniał ją rękami przed Leszkiem.

Ale złotą plamkę zobaczył i Leś. — Moja! — krzyknął i uderzył Czesia po rękach. — Puść! To moje! Moje, moje! — powtarzał.

— Nie, to moje! — rzekł z uporem Cześ i pochylił się cały nad stołem. Wtenczas ujął go Leś wpół, ażeby go oderwać od złotej plamki. Zaczęli się chłopcy bić i obydwaj upadli na ziemię.

Gdy powstali nie było już złotej plamki na stole.

Bo promyczek wyskoczył przez okno z klasy i nie chciał szukać i oglądać z bliska już innych dzieci. Posmutniał i spoglądał ku niebu. Szukał jakim sposobem znowu uciec z ziemi na słońce.

Nie było to jednak zbyt łatwe. Trzeba było bowiem czekać na nową tęczę. I stało się bardzo dobrze, że się nowa tęcza prędko nie pokazała, bo promyczek został jeszcze trochę dłużej na ziemi i przekonał się, że są na niej także i dobre dzieci...

Jak skrzynia mówi do Jurka

Jurkowi nie przykrzy się nigdy. Zawsze jest wesoły i uśmiechnięty.

Wszyscy go kochają, bo dla wszystkich jest dobry.

Kochają go ludzie, zwierzęta, rośliny a nawet i rzeczy.

Stoi twarda skrzynia w kącie, twarde rogi wysunęła naprzód, a Jurek biega po kuchni. Biega i nie uważa na nic.

— Uważaj Jurku, nie biegaj tak, bo się przewrócisz i potłuczesz. Uważaj na skrzynię bo się pokaleczysz o jej okute rogi.

Tak mówi mama i ciocia także mówi:

— Tak, tak, uważaj Jurku.

A Jurek biega i biega i nie uważa na twarde rogi skrzyni.

Ale skrzynia uważa na Jurka. Sama mówi do niego cichutkim głosem, którego ani mama, ani ciocia nie słyszą, ale który słyszy i rozumie Jureczek.



Skrzynia mówi: — Teraz Jurku biegnij trochę dalej, a teraz możesz bliżej. Tutaj możesz skakać, a tutaj nie, bo upadniesz. Bardzo się martwię, że moje twarde rogi przeszkadzają ci swobodnie biegać, ale cóż robić, nie mogę ich schować, tak jak ślimak, który kiedy chce wciąga swoje różki do środka.

Jurek słucha co mówi skrzynia i biegnie koło niej uważnie.

Aż się mama i ciocia dziwią, że to dziecko takie ma szczęście, że chociaż upadnie na ziemię, to nawet nie bardzo się potłucze. I zaraz się śmieje. Nawet gdy upadnie, to też się śmieje.

A Jurek się śmieje, bo słyszy, że i skrzynia się śmieje cichuteńko:

— A widzisz, troszkę nie uważałeś i upadłeś. Ale to nic, to się nie jednemu zdarza. Nie warto się tym przejmować i płakać.

— Nic się nie stało, bo upadłeś na podłogę i nie skaleczyłeś się o moje okute rogi.

— Tak, tak, trochę trzeba uważać na tym świecie. Tak, tak...

A Jurek wstaje z podłogi, poprawia na so-

bie ubranko, odgarnia włosy z czoła i podchodzi do skrzyni.

Głaszcze ją ręką i chwali:

— Dobra skrzynia, kochana skrzynia!

A mama i ciocia dziwią się dlaczego Jureczek chwali skrzynię, i mówią:

— Jakie to dobre dziecko, wszystkich kocha i jego wszyscy kochają.

Nawet tak jakby go ta skrzynia kochała, bo nigdy się o nią nie potłucze, chociaż tutaj tak ciasno!

Maciejowa łopata

Łopata zrobiona była z grubej blachy stalowej i z drzewa. Drażek z drzewa dorobił Maciej, a żelazną część kupił w sklepie z żelaznymi rzeczami.

Przyniósł tę część ze sklepu i położył na stole. Brzęknęło coś, ale nie przemówiło... Łopata była jeszcze do niczego niezdatna.

— Weźże taką łopatę, bez drażka i kop! Ani rusz nie potrafisz! — pomyślał sobie Maciej i zaczął zdejmować z pieca suche kije na drażek do łopaty.

— Ten za gruby, ten za cienki, ten krzywy, ten sękaty! Ale piąty kij był dobry, jak raz! W sam raz!

Ostrugał mu Maciej nożem koniec na ostro i siup! Nabił na niego żelazną część i prawdziwą łopatę postawił pod płot.

A prawdziwa łopata miała swój prawdziwy łopaci głos.

— Jestem nowa Maciejowa łopata — przemówiła do płotu.

— A dyc widzę, żeś jest — mruknał płot. —



Już najwyższy czas i najwyższa pora po temu, żebyście się zabrali do kopania ogrodu. Ziemia twarda i chwastami zarosła.

— Eh! nudziara! — rzekła sobie łopata i chciała już rozmawiać z białym kamieniem, ale zaraz przyszedł Jacuś, synek Macieja.

— Łopata! — krzyknął. — Nowa tatusiowa łopata! Oj, jaka ładna!

Łopata się ucieszyła z takiej pochwały, ale także przestraszyła się trochę, bo Jacuś ją uchwycił za drążek i pociągnął za sobą.

— Stuk! puk! stuk! puk! — stukala łopata o kamienie podwórka.

— Stuk! stuk! stuk! puk! — poszczerbisz się nowa łopato! — stukaly kamienie. — Pozbijasz swe ostre brzegi! Nie dajże się ciągnąć Jackowi!

Wtedy łopata z brzękiem upadła na ziemię.

— Oj, Jacuś, Jacuś! A pocóż ty ciągniesz tatusiową łopatę? — wołała mama przez okno. — A pocóż ją upuścileś na ziemię?!

— Sama upadła, chociaż mocno ją trzymałem!

— Tak! tak! sama upadła! — przytakiwały kamienie pod nogami Jacusia, który uciekał do mamusi, bo już widział, że tatuś idzie i bę-

dzie się gniewać na niego za to, że mu zabrał łopatę.

Ale tatuś nie gniewał się jakoś. Podniósł łopatę i zawołał na syna:

— Chodźże, chodź! Nie uciekaj, bo będziemy kopać ziemię w ogrodzie!

Twarda była ziemia w ogrodzie, twarda i sucha. Sapała i gniewała się na łopatę, że ją trąca i spać nie daje.

Kopał tatuś łopatą ziemię w ogrodzie, ażeby ją spulchnić no i uprawić. A Jacuś mu pomagał. Zbierał, wykopane przez łopatę kamyczki i odnosił do jednego kąta w ogrodzie.

No i wszyscy byli zadowoleni i Maciej i Jacuś, a najwięcej cieszyła się łopata. Lubiała kopać!

Nawet ziemia już spulchniona przestała się gniewać i sapać, bo cieszyła się, że kwiatki na niej wyrosną...

Gdy Tomcio szedł w zimie do szkoły

Szedł Tomcio do szkoły łąką. W lecie łąka była zielona, a w zimie biała. W lecie chodził Tomcio miedzą około łąki, a w zimie szedł ścieżką przez środek łąki. Ścieżka biegła przez łąkę po śniegu. Chodził Tomcio po niej do szkoły, a w kieszeni od płaszczyka trzeszczała mu świeża bułeczka.

Powiedziała mu mamusia tak: — Idźże Tomciu do szkoły sam. — Uważaj na siebie. Prosto idź do szkoły, grzecznie idź do szkoły, bo ja w domu robotę mam, odprowadzić cię do szkoły nie mogę!

Szedł więc Tomcio do szkoły sam, a w kieszeni od płaszczyka trzeszczała mu świeża, ciepła jeszcze bułeczka...

Ale nagle, niespodziewanie zatrzymał się w drodze do szkoły.

Ni stąd, ni zowąd zastąpiła Tomciowi drogę ślizgawka. Śliczna ślizgawka! Położyła się bliźniętka przed nim na samej drodze i nama-

wiała go i zapraszała go, żeby trochę, choć troszeczkę, poślizgał się na niej.

Gładka była ta ślizgawka, jak to duże lustro mamusi i kołnierzyk miała z białego śniegu.

A przymilała się do Tomeczka!

A uśmiechała się do Tomeczka!

Ale Tomcio wiedział o tym, że tam szkoła na niego czeka.

— A niech sobie czeka, ta nudna szkoła! A ty Tomek chociaż trochę pojedź po lodzie!

— Nie! — powiedział Tomcio ślizgawce i szedł dalej do szkoły drogą wydeptaną na śniegu.

Cóż?! Ślizgawka była uparta. Nawet bardzo była uparta i koniecznie chciała Tomcia zatrzymać. Prędko, prędko znowu zaszła mu drogę. Zrobiła się teraz wążuteńka i długa a w słońeczku zimowym, mieniła się cała od złota.

— Ejże Tomciu! — namawiała chłopczyka. — Nie bądź głupi! Skocz na gładki zlocisty lód. Prędzej po nim ten kawałek drogi przejedziesz, niż gdybyś piechotą lazi!

— Tak, to prawda! — pomyślał Tomcio i z rozmachem skoczył na błyszczący od złotego słońeczka lód.

Szust! przejechał się po nim równo i gładko
aż na sam koniec.

Ale koniec ślizgawki nie był końcem
ślizgania.

Szust! przejechał się Tomcio po lodzie
z powrotem.



Szust! znowu naprzód! Szust znowu w tył!
Drugi raz, trzeci raz, czwarty raz, piąty raz
i jeszcze więcej razy. Włosy mu się rozwiały
i płaszczyk rozpiął, a z kieszeni wyskoczyła
świeża bułeczka i ukryła się przed Tomciem
w śniegu.

Bo do szkoły miał iść Tomcio, nie na śliz-
gawkę!

Ta ślizgawka to nie była dobra dla niego,
nie!

Jak go zrazu namawiała i zapraszała, tak
się potem wyśmiewała z niego, gdy upadł.

A jak upadł, rozdarł sobie pończoszkę,
a z kolana krew czerwona kapała na śnieg.

— Oh! potłukłem się w kolano i zgubiłem
swoją bułeczkę! — zapiakał Tomcio.

Ale nie miał go kto pocieszyć, ani żałować,
bo mamusia jego była daleko, a ślizgawka
teraz milczała zimna jak lód...

Tak, milczała, gdy Tomcio płakał, a jak po-
szedł dalej w drogę to kpiła z niego, że jest
mały, że jest śmieszny, że jest niezgrabny!

Potem zaraz namawiała innych chłopców,
żeby zamiast iść do szkoły, ślizgali się po
gładkim lodzie...

Chodzi mróz po świecie

Wyszedł mróz na pole i wyciągnął zbolale kości.

Całą wiosnę, całe lato, całą jesień spał. Mógł już dobrze się wyspać w swej lodowej jaskini w Tatrach.

Już dawno chciał wstać, ale małe krasnoludki mu nie dawały.

— Jeszcze nie pora na ciebie — szeptały mu do ucha, kiedy się budził. — Jeszcze nie pora, dopiero jesień, ziemniaki w polach, jabłka na drzewach, słońeczko grzeje. Śpij jeszcze!

No i mróz obracał się do lodowej ściany i spał... Aż się wyspał zupełnie i wyskoczył na świat.

Była już zima, biały śnieg powolutku pokrywał ziemię.

Wróble ćwierkały, wrony krakały.

— Ach, dzień dobry panie mrozie, już wstałeś? tak wcześnie? Dopiero grudzień! Jeszcze nawet Świąt nie było! Śpij jeszcze, miły panie mrozie, śpij!

Mróz zgniewał się na to przygadywanie, bo już mu się spać nie chciało zupełnie, a tu do snu go namawiają i namawiają. Jak się zgniewał, to gwizdnął.



— Ćwirik, ćwirik! — wrzasnęły wróble. —
Kra! kra! — dały się wrony. — Uciekajmy
do gniazd, bo zimno się robi na świecie! Mróz
chwytą!

Poweselał mróz z radości, że się go boją



i znowu gwizdnął. (I ze złości i z radości mróz gwizdże.)

Wszystkie listki, które jeszcze były na drzewach, spadły z szelestem.

— Już zaczynasz! — krzyknęła wiewiórka na mróz i zakryła się całą puszystym ogonem. — Oj, mrozie! mrozie! Jeszcze pola śnieg nie pokrył, a ty już gwizdzesz! Ozimina w ziemi zamarznie na nic! Będzie głód!

Mróz nie lubi sporów z wiewiórką, może boi się jej puszystego ogonka, którym macha na wszystkie strony, bo przestał gwizdać i śnieg cichuteńko, spokojnie pokrywał ziemię. A mróz poszedł rozglądać się po świecie, czy się tam co nie zmieniło, gdy spał...

Obrócił się znowu ku góróm. Przeszedł po nich prędko, prędko i niespodzianie.

Zabawił się na chwilę marznącą wodą w szczelinach skalnych.

Marzła woda w szczelinach skalnych, marzła na lód i pęczniała jak ciasto w piecu chlebowym. Zaczęły się sypać kamyczki z popsutych skał.

Spodobała się mrozowi zabawa z lodem. Gwizdnął jak zawsze i skoczył ku ludziom w dół.

Wieczorem, Maciejowa wyniosła balię z piwnicy na dwór. A do balii nalala wody, bo jutro pranie i dużo pracy.

Od wieczora zaczął mróz plątać się po wsi. Pogwizdywał, poświstywał, swoje sztuczki wyprawiał.

Woda w balii Maciejowej zamarzała na lód. Lód napęczniał tak jak ciasto w piecu chlebowym i balia rozpadła się w kawałki.

Maciejowa rano żaliła się na mróz o tę balię.

— Tak nagle chwycił — mówiła z płaczem. — Wiedział to kto wczoraj wieczór, że mi woda w balii zamarznie?! W czymże będę teraz bieliznę prać?!

Mały Wojtuś także słyszał narzekanie mamusi i także się gniewał na mróz. Wyszedł na dwór ciepło ubrany, żeby mróz mu nie mógł dokuczyć. To też mróz tylko żartem uchwycił go za koniec noska.

— Głupi jesteś — powiedział mu Wojtuś — głupi i zły! Dlaczego wszystkim dokuczasz!

Jakoś mróz nie pogniewał się na Wojtusia o te niegrzeczne słowa, tylko zaśmiał się głośno.

— Hej, ha! ha! Hej, ha! ha! Wszyscy się mnie boją! Wszyscy się mnie boją! — Śmiał się mróz i tańczył po śniegu.

— A ja się ciebie nie boję — mówił Wojtuś. — Ty szkaradny, głupi mrozie! tylko cię nie lubię, nie lubię i koniec!

Teraz mróz posmutniał trochę.

— Wiem, że mnie nie lubisz — powiedział — wszyscy mnie nie lubią. Nie, nie jestem głupi, jak mnie niegrzecznie nazywasz, a byłbym dobry dla ciebie, gdybyś polubił mnie trochę.

— Nie wierzę ci, nic ci nie wierzę! Nie trzymaj mnie za rękę tak mocno, to boli!

Włożył Wojtuś rękę pod płaszcz. Teraz było mu cieplej i ręka przestała go boleć.

— W tajemnicy ci to powiem, że ja jestem czarodziejem — powiedział mróz.

— Nie wierzę ci, nic ci nie wierzę! — powtarzał z uporem chłopiec.

— Czary, czary, czary, czary! — skrzypiał śnieg pod nogami.

— Idź Wojtusiś do domu, czary, czary. A jutro przyjdź nad strumyczek do lasu. Jutro, jutro zobaczysz czary!

— Czary, czary — skrzypiał śnieg pod nogami Wojtusia, gdy biegł prędko do domu, bo było zimno.



A nazajutrz rano wcześniej, gdy jeszcze spał, wyrysował, wymalował, wyczarował mu mróz śliczne kwiaty na oknie.

Obudził się Wojtuś rano, patrzy w okienko i dziwi się i cieszy się. Mamusię swą woła i pyta.

— Mamo! Mamusiu! Jakie śliczne kwiaty na oknie! Kto to je zrobił?

— E, to od mrozu — powiedziała mama z niechęcią, bo się ciągle jeszcze o te balię gniewała na mróz.

Teraz Wojtuś wprost z łóżeczka podbiegł do okna.

— Ah, jakie mam śliczne kwiaty — wołał, rączkami klaskał.

— Oj, la, la! Oj, la, la!

A mróz kiwał na niego przez okno, żeby wyszedł już na dwór. Więc się Wojtuś ubrał ciepło i poszedł.

— Chodź prędko! — zaskrzypiał mróz, — prędko nad strumyczek do lasu, bo już słońeczko świeci!

— Już idę! — rzekł Wojtuś i biegł prędko za mrozem w las.

A w lesie...



W lesie drzewa stały ubrane w gwiazdy.

— Gwiazdeczki złote! — zawołał Wojtuś i podbiegł bliżej.

— To zmarznięty śnieg na drzewach tak błyszczący w słońcu — szepnął mu mróz.

W lesie tylko cicho szeptał mróz do Wojtusia i nie gwizdał tu tak, jak w polach.

Szli przez las, szli przez las, aż dopiero nad strumykiem stanęli.

Teraz Wojtuś zobaczył czary, zobaczył dziwy. Nad strumykiem stały w słońcu zamki lodowe.

Przed zamkami lodowymi były kwiaty i ogrody lodowe. Zaś największy zamek lodowy miał ganeczki koronkowe lodowe i lodowe koroneczki u okien i drzwi. I zaskrzyphiał mróz na śniegu i powiedział Wojtusiowi, że dla niego wybudował te lodowe zamki nad wodą. Bo nad każdą prawie wodą buduje mróz zamki dla dzieci.

No i Wojtuś nawet polubił mróz.

Całą zimę, aż do wiosny, chodził nad brzeg strumyka i oglądał w słońcu zamki lodowe, które wybudował tam dla niego mróz.

Bałwan śniegowy

Może dawno, może nie dawno była sobie raz zima. Pewnie powiecie, że zima jest zawsze. Otóż nie zawsze. Zawsze są dzieci. Jedne rosną, a drugie przychodzą na świat. A zima jest, a potem jej nie ma, bo przychodzi wiosna, a po wiosnie lato i wtedy nikt nie myśli o zimie. Dopiero w jesieni wiewióreczki znoszą orzechy do dziupli drzewnych, żeby miały w zimie co jeść. Mądre są te wiewióreczki, oj mądre!

Zatem kiedy była raz zima i śnieg, pewne dzieci ulepiły z niego bałwana. I kapelusz na głowie miał i nos z marchwi miał, tylko nóg nie miał, gdzie go dzieci postawiły, tam stał.

Potem dzieci wzięły się za ręce i otoczyły bałwana kołem. Wszystkie dzieci: Monika i Zdziś, Wisia, Kasia, Leszek i Zbyś otoczyły bałwana kołem.

— La, la, la. Hop! La, la, la. Hop! — śpiewały dzieci i tańczyły dookoła swego miłego bałwana śniegowego.

A bałwanek śniegowy stał, głową nie ruszał, tylko węglanymi oczami na dzieci patrzył i marchewką w ustach do nich się śmiał.



— Śliczny bałwan, la, la, la, hop! śliczny bałwan, la, la, la, hop! — śpiewały dzieci w takiej piosence, którą same ułożyły dla swojego bałwana.

— Eh! nie! — ćwierkały wróble. — Gruby bałwan, brzydki bałwan. Dlaczego się dzieciom podoba? Ani głową nie rusza, ani chodzić nie umie. Gdzie go dzieci postawiły, tam tylko stoi!

Tak ćwierkały wróbelki i skakały tu i tam, tu i tam po śniegu.

— A ja wiem, a ja wiem, dlaczego się bałwan dzieciom podoba — zagwizdał gil, który właśnie z lasu do ogródka przyleciał.

— No dlaczego? No dlaczego? — dopytywały się świergotliwie wróbelki.

— Bo on ma czerwony nosek, taki jak ja. Bo on ma czerwony nosek, taki jak ja! — zagwizdał gil i poleciał skąd przyleciał, to jest do lasu.

— Eh! — zgniewały się wróbelki. — Komu by się nos czerwony podobał. Ale gil jest strasznie zarozumiały, strasznie zarozumiały, ćwirk! ćwirk! — Dlaczego się bałwan dzieciom podoba? Jeszcze nie wiemy.

Wiatr to wiedział, ale nie chciał z wróbelkami rozmawiać. Wiatr dużo wiedział, bo uganiał po całym świecie, a wróbelki tylko w jednej wiosce siedziały

— Podoba się dzieciom bałwan śniegowy, bo go sobie same zrobiły — szepnął wiatr do jednej sosny, która tam stała.

— Ah! tak! — odezwała się sosenka i westchnęła z radości, że wiatr ciepły do niej przemawia.

— Mokre czapy śniegu ze sosny lecą! Oj ćwirk! oj ćwirk! — darły się wróble, które zawsze przy każdej sposobności się drą.

A dzieci już przestały tańczyć dookoła bałwana, bo się wreszcie pomęczyły i poszły sobie.

Kiedy bałwan pozostał sam, zaczęły mu wtedy wróble dokuczać.

— Brzydki jesteś — ćwierkały. — Gruby jesteś — ćwierkały. — I na miejscu tylko stoisz, ani chodzić, ani latać nie umiesz. Ani nawet głową nie obrócisz w prawo i w lewo i nie kiwasz nią ni w przód ni w tył.

Smutny bardzo był ten bałwan i żałował, że go dzieci zrobiły.

Smutny był, bo mu wróble dokuczały
i chciał odejść z tego ogródka w pole,
ale nóg nie miał.



— Poczekaj na wiatr! Poczekaj na wiatr! — zaszumiała sosenka, która żalowała bałwana. — Wiatr ci pomoże!

Do samego wieczora czekał bałwan na wiatr i martwił się, bo mu wróble wciąż dokuczały.

Takie to są te wróble, jak się tylko kogoś nie boją, to mu już dokuczają!

A wieczorem zjawił się w tamtym ogródku wiatr. Ten sam ciepły wiatr, który rano tam przelatywał.

— Popchnij mnie mocno! — prosił go bałwan. — Z całej siły wydmuchaj mnie z tego ogródka w pole! Bo tu wróble...

I chciał bałwan uskarżać się na wróble, ale wiatr je sam dobrze znał. Żalów słuchać na nie nie potrzebował.

Czasu na daremne nie tracił, tylko w bałwanowe plecy jął dmuchać.

Najpierw dmuchał pomału, a potem prędko, z początku słabo, a potem mocno. Ale to nic nie pomagało, bo bałwan ciągle na miejscu stał. Wreszcie wiatr się zmęczył i już wiać przestał. Schował się pod starą sosnę i spał.

Wiatr spał, wróble spały i dzieci już dawno były w łóžeczkach...

Tylko bałwan sam pozostał w ogrodzie i nie spał. Martwił się, bo wiedział, że mu rano znowu wróble będą dokuczać. Martwił się i głośno wzdychał, że nóg nie ma i w pole wyjść nie może.

— Iii! — rzekł mu na pocieszenie płot. — Ja także na miejscu stoję i po polach nie chodzę, a wróbliska skaczą po mnie przez cały dzień. A ja się tym nie przejmuję i nie płaczę z tego powodu! Przestańże się martwić i ty biały bałwanie!

— Nie rozmawiaj teraz płocie! — szepnęła noc. — Nie wiesz o tym, że teraz należy spać? Spać! spać!

Płot jest zawsze posłuszny, więc i teraz usłuchał nocy i spał.

— A ja? — Cóż mam robić, kiedy ze zmartwienia i spać nie mogę — użalał się bałwan przed nocą.

Noc snuła się po chatach, po drogach, po krzakach, po białym śniegu i dumiała jakby tego śniegowego bałwana pocieszyć.

Wreszcie wywołała na pomoc duszyczki drzew.

Wyszły jej na pomoc duszki z krzaków i drzew i zaczęły tańczyć koło bałwana.

A duszyczka bzu miała suknię liliową, lekką jak mgła. A duszki różanych krzaków miały suknie białe, żółte, albo czerwone. Różową zaś suknię miał duszek jabłoni. Jedne duszki miały suknie błękitne, a inne złote....

I tańczyły tak prześlicznie, że już nawet ładniej, niż tamte dzieci: Monika i Zdzisł, Wisia, Kasia, Leszek i Zbyś.

Ładniej duszki tańczyły, niż dzieci.

Bałwan przestał się już martwić i nawet się śmiał, bo i ciepły wiatr się zbudził, wyszedł spod sosny i zaczął tym drzewnym duszkom do tańca grać.

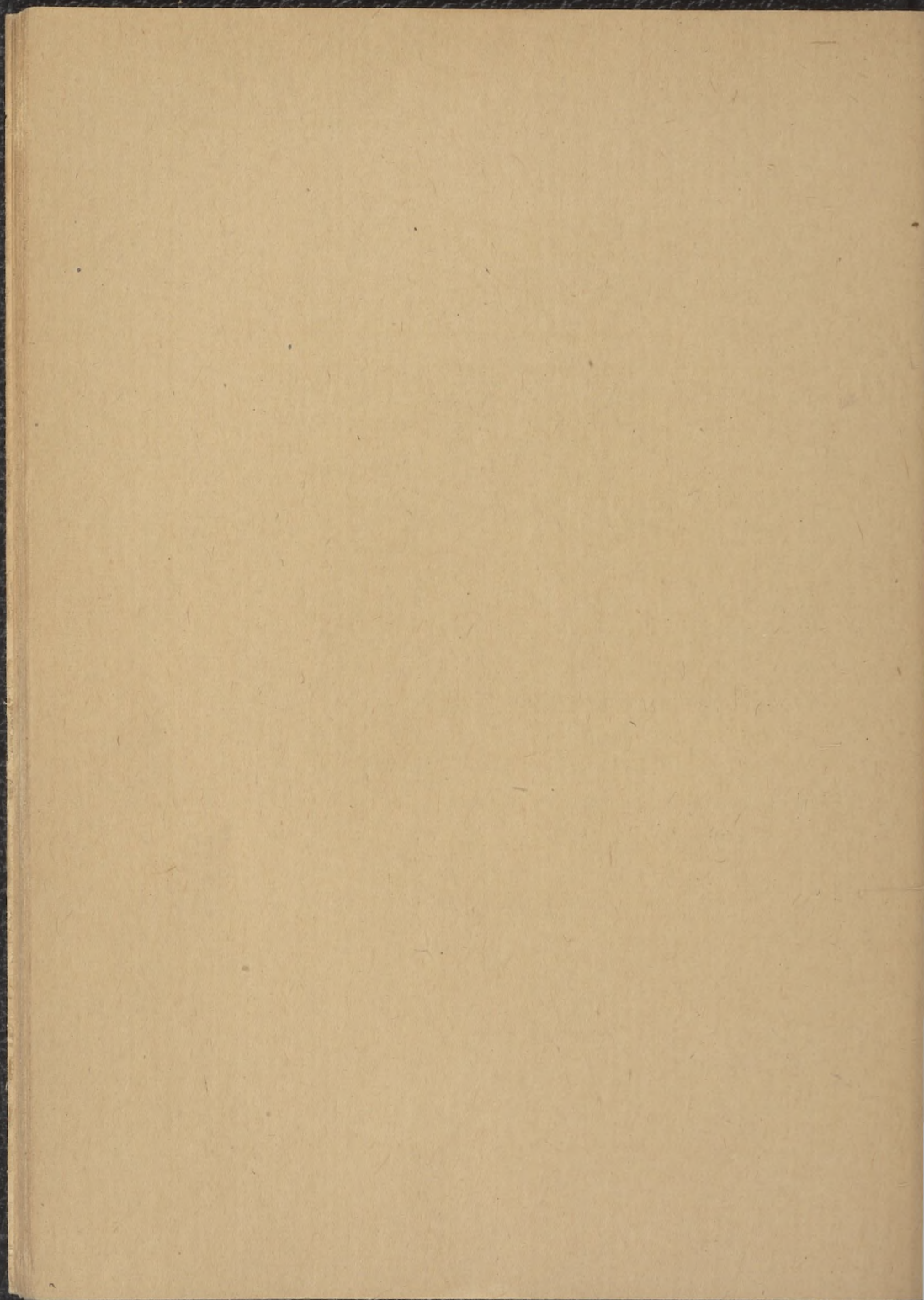
A że bałwan płaczliwe serduszko miał, zaczął teraz płakać z radości. Płakał nosem i płakał oczami, płakał brodą ze śniegu i ustami z marchwi też.

Płakał, płakał, aż się cały zamienił w wodę.

Piękne duszyczki powróciły do krzaków i drzew, bo już blisko była wiosna i musiały z drzew wysyłać listeczki na świat.



zobby



NAKŁADY

SPÓŁDZIELNI KSIĘGARSKIEJ

„OGNIKO”

KATOWICE

LEKTURY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:

W DRUKU:

1. Dorman J. —
O WOJTKU GRAJKU
2. Rosinkiewicz K. —
IHAK, MĄDRY OSIOŁ
3. Rosinkiewicz K. —
SZARA BRAC
4. Rosinkiewicz K. —
FATALNA TRZYNASTKA
(powieść harcerska)
5. Sikora J. —
BASŃ O SZKLANEJ GÓRZE
6. Sikora J. —
KSIĘŻYCOWE BAJKI
7. Sikora J. —
W CICHĄ NOC GRUDNIOWA
8. W. Hessel-Zaleska —
CZARY W POKOJU DZIECI

OPRACOWANIA SZKOLNE:

1. Ludwikowski W. —
PSYCHOLOGIA ROZWOJOWA
(skrypt dla szkół średnich)
2. Dobrowolski T. —
WIADOMOŚCI Z CHEMII
(zatw. przez Min. Ośw. podr. dla II kl. lic.
humanist.)

„Ognisko” Katowice
24. VI. 48

NAKŁADY

ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

OKRĘGU ŚLĄSKO-DĄBROWSKIEGO

POWIEŚCI-

LEKTURY SZKOLNE:

1. Morcinek G. —
WYORANE KAMIENIE zł. 200.—
2. Morcinek G. —
GWIAZDY W STUDNI
3. Morcinek G. —
ŁYSEK Z POKŁADU IDY zł. 25.—
4. Mickiewicz A. —
POEZJE (WIERSZE MŁODZIEŃCZE) zł. 90.—
5. Mickiewicz A. —
KONRAD WALLENROD zł. 30.—
6. Tełmajer K. —
KSIĄDZ PIOTR zł. 25.—
7. Dorman J. —
MALOWANE DZBANKI zł. 60.—